

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

34

(Ciąg dalszy).

Gdy pani pozna rozkosz, jaką daje praca, chętnie podejmie się pani wszelkiej roboty, by własnym wysiłkiem zarobić sobie na życie. Człowiek nabiera wtedy nowej wartości, staje się dumnym z tego, co czyni. Poczucie się pani inną kobietą. I wtedy będzie pani zasługiwała na oglądanie córki, którą pani Mitre mnie powierzyła. Wzbudzą się w pani uczucia macieżyńskie, które napętnią panią rozkoszą i szczęściem. O tem właśnie myślałam; co pani teraz powie?

Adwokat Rascoil spoglądał ciekawie na swą klientkę, адвокат Poupette pograżył się w kontemplacji desena dywanu. Ninetka po kilku ruchach nerwowych, które mogły uchodzić tak za stłumione łkanie, jak i za objawy niecierpliwości, zawołała:

— Jakże ja mam pracować? Nie lubię pracować, nie nawidzę pracy. A jechać gdzieś do nieznanego kraju, nigdy!... wolałabym umrzeć.

— To rozwiązuje całą kwestyę — rzekła pani Seymour z zalem. Widocznie pani posiada jakieś środki do życia!

— Środki, ależ mąż mi nic nie pozostawił!

— Zapomina pani o emeryturze, zauważył адвокат Poupette.

— Taka nędzna, a jeszcze ponadto Edgard wydziedziczył mnie z tych czterech groszy, jakie posiadał.

— Panią Seymour oburzyła ta niesumienność, rzekła więc surowo:

— Nadzieje swoje opiera pani widocznie na urodzie, ona pozwoli pani nadal prowadzić lekkie życie; piękność jednak, niech mi pani wierzy, minie, a gdy nadejdzie starość, będzie ona daleko cięższą dla pani, niż dla kogo innego.

Ninetkę słowa te dotknęły żywo. Wiedziała, że jest jeszcze młodą i piękną. A gdy postarzeje się, wtedy dopiero pomyśli o tem.

Pani Seymour mówiła jednak dalej:

— Mam uczynić pani jedną propozycję. Jak już powiedziałam, pani Mitre i opiekun pan Le Chars zgodzili się, bym zabrała z sobą Made, do której się przywiązałam. Szczęśliwa jestem, że mogę zabezpieczyć jej przyszłość. Otrzyma staranne wychowanie; by mogła się stać uczciwą i wykształconą kobietą. Kocham ją i wszystko uczynię, by stała się godną swego ojca.

Ninetka zagryzła wargi, wzruszając lekko ramionami.

— Uznaję jednak, iż zamiar ten mogę doprowadzić do skutku tylko wtedy, jeżeli uda mi się usunąć ją od wszelkich złych wpływów. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli pani godzi się na moje warunki, musi pani rzec się widywania córki, dopóki pani nie zmieni trybu swego życia. W zamian chcę pani zabezpieczyć byt niewielką pensją, która razem z emeryturą po mężu pozwoli pani żyć wygodnie, lecz nie zbyt kłopotliwie. Prosiłam dlatego o obecność panów, by byli świadkami naszej umowy. Niech pani pomyśli, zanim mi odpowie.

Adwokat Rascoil chciał tutaj coś wtrącić, ubiegł go jednak kolega Poupette:

— Nie skrywałem przed panią Seymour, że podobna umowa, zwrócił się do адвоката Ninetki, nie ma żadnego znaczenia wobec prawa i najwyżej może mieć tylko wartość wzajemnego moralnego zobowiązania się.

— Jestem zmuszona zadowolić się tem, na co wypadki mi pozwalają, rzekła pani Seymour. Zobowiązuję się na piśmie pod słowem honoru. Czy chce pani to samo uczynić?

— Dobrze, dosyć już mam tego — rzekła żywo Ninetka, podnosząc się z fotele. Myli się pani, jeżeli sądzi, że chodzi mi o pieniądze i że sprzedaję córkę. Sprawę tę proszę załatwić z tymi panami, a co oni mi proponują, chętnie na to przystanę. Wahałam się przez chwilę: namowa do pracy... wyjazd... stać się godną córki... Tak... a potem nie i nie! Co robić? Macierzyństwo, to nie dla mnie, to ciężar za wielki!

Adwokat Rascoil błysnął łobuzersko oczami, адвокат Poupette opuścił wstydliwie wzrok ku ziemi.

— Kocham Made po swojemu... Uznaję, że to nie jest dobre dla tej małej... Pani ma szlachetną minę, chociaż mówi bez ogródek, och, nie! Wszystko to jest wina mego męża i świędry... a i moja także... Och! wiem o tem. Nie wchodzi się jednak po pochyłości, po której się zwolna staczało... Cóż robić... A teraz, rzekła Ninetka stanowczo, o ile na to po-

zwalał jej charakter, jest już za późno, powierzam pani swoją córkę i nie będę jej widywała...

— Zresztą, rzekł адвокат Rascoil, chcąc wszystko załagodzić, to rozstanie może będzie tylko czasowe; pani Seymour pozwoli na widzenie...

— Oh! to już postanowione — rzekła Ninetka, Nie zmienię... Trzeba mnie brać taką, jaką jestem. Widzę, że pozostaje mi tylko podziękować pani i przyjąć pani wzgardę. Dziękuję więc, a jeżeli Made będzie szczęśliwą i stanie się dzielną kobietą, podobną do pani, tem lepiej, nie będę jej stawiała przeszkód swą hańbą.

Pani Seymour podniosła się. Poruszona była tym tonem ironii, w którym brzmiała nuta bólu. Lecz co począć? Ninetka sama się potępiła i zdecydowała o swym losie.

— Pani się może namyśli — rzekła po raz ostatni z dobrocią.

— To zbyt cenne! Pani dokończy już wszystkiego z tymi panami.

— Córka pani jest tutaj. Może pragnie ją pani jeszcze ucałować?

Na twarzy młodej kobiety zażnaczyły się sprzeczne uczucia, potem rzekła z dziwnym uśmiechem:

— Nie... Żegnam panią...

Po wyjściu Ninetki, адвокат znowu usiedli i zaczęli układać razem z panią Seymour warunki tej umowy i wysokość pensji rocznej.

Gdy pani Seymour znalazła się sama z Made, ucałowała ją czulej niż zazwyczaj, pocałunkiem matki i babki.

Tegoż wieczoru Joanna jechała już pospiesznym pociągiem na Medyolan do Wenecji. Zatelegrafowała do męża i spodziewała się depezy w Medyolan. Nic jednak nie otrzymała. Przynajmniej będzie oczekiwał jej na dworcu w Wenecji. W miarę jak odległość zmniejszała się, doznawała ulgi: ujrzeć Maurycego, uściskać go, dodać mu otuchy, ponieważ był tak smutny bez niej!...

Ukazały się laguny, pociąg biegł po żelaznym moście. Wjechano na dworzec. Wychyliła się z okna.

— Maurycy!

Nigdzie go nie widzi.

Jakiś mężczyzna zbliżył się do wagonu: sekretarz Dyonizy Friand z zasmuconą miną.

— Chodźmy, zaraz pani wytłumaczę...

— Nieszczęście?

— Nie sądzę, nieporozumienie zapewne. Pan Le Chars przyjechał prawdopodobnie do Paryża, gdy pani stamtąd wyjeżdżała... albo...

— Męża niema w Wenecji?

— Nie.

— Chory? Co się stało? Pan coś ukrywa. Gdzie jest?

— Wszystkiego pani się dowie. Odwagi! Nic jeszcze nie stało się strasznego...

Gondola unosiła ich szybko, a sekretarz przygotowywał panią Le Chars pomału i ostrożnie do całej prawdy. Co za strasne odkrycie! Maurycy grał. Maurycy rujnował się. Maurycy zadłużył się i przegrał na słowo... Znowu zaczął palić opium i to mówił jej Friand jako okoliczność łagodzącą. Błada, nie mogąc płakać, z naprężoną wolą słuchała, siedząc w gabinecie męża, gdzie unosiła się jeszcze woń opium.

— Lecz gdzie jest, gdzie jest?

Rzekł głosem zrozpaczonego:

— Sądzę, że może jest w Paryżu, nic mi nie powiedział, rzekł tylko: „Polecam panu na kilka dni konsulat. Muszę wyjechać”. Nie odpowiedział mi na żadne zapytanie; wyraz oczu miał błędny; już pięć dni jak pojechał.

W chwili tej służący przyniósł depezę:

— *Una telegramma, signor.*

— To dla mnie, pozwoli pani, że przeczytam. Zbladł i podał depezę pani Le Chars, która przeczytała:

„Położenie bez wyjścia, proszę pożyczyć tysiąc franków na zapłatę podróży i hotelu.

Le Chars”.

Datowane było z Monte-Carlo. Joanna, drżąc całą, napisała pospiesznym depezę i zadzwoniła:

— W tej chwili do telegrafu! rozkazała. Zwróciła się do Frianda:

— Jadę, przywieźć go, ocale!

Oby tylko przybyła w czas — pomyślał sekretarz.

XXXII.

POMYSŁ COCKLEYA.

Obiad wydany przez Plumpisha na cześć doktora Cruxa i Saffroya upływał bardzo wesoło, dzięki zwłaszcza liczny toastom. Zapanowała najserdeczniejsza atmosfera. Doktor Crux znalazł się w takim usposobieniu, iż wychodząc z gabinetu, nie mógł trafić

do samochodu, Saffroy zaś postanowił bawić się do rana i zaproponował Plumpishowi wieczór w Olimpi. Plumpish nie przystał: ostatnie przygotowania do wyjazdu, ułożenie rzeczy nie pozwalają mu na tę rozrywkę; rozstali się.

— Do widzenia, drogi kolego.

— Przyjemnej podróży, kolego Plumpish.

Śmieszny on jest, myślał Saffroy, udając się do kabaretu, by zakończyć wesoło noc. Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ten Plumpish jest Plumpishem.

Doktor Crux po powrocie do Auteuil tak był rozespany, iż dał się rozebrać negrowi i po stwierdzeniu, iż portyer przyniósł we właściwym czasie wszystkie klucze, położył się zaraz do łóżka. Zasypiając już, zawezwał jeszcze portyera:

— Groot! Olbrzym ukazał się na progu.

— Psy spuszczone? Groot kiwnął głową.

— Nic nowego? Groot pokręcił głową od prawej strony do lewej. Wtedy Jocko, który składał ubranie, odezwał się:

— Pan Groot nie wie. Kapitan Huchsssetts powiedział mi, iż dzisiaj w nocy chce poderznąć pana doktora.

— Ach, przeklęty! I co, Jocko?

— Wtedy główny dozorca odebrał mu nóż kuchenny, jaki sobie schował na brzuchu i związał go sznurami na łóżku, by leżał spokojnie.

— Dobrze zrobił, chociaż to nie według regulaminu; są do tego kaftany bezpieczeństwa. Ten Huchsssetts jest nieznośny... ah! aah! aah!...

Doktor ziewał coraz bardziej i wkrótce zasnął.

— Dobranoc panu doktorowi...

— Dobranoc, szepnął jeszcze Crux.

Groot i negr oddalili się. W kilka chwil potem głośnie chrapanie oznajmiło, iż doktor Crux przemiął się już do krainy marzeń. Skorzystał z tego Jocko, który zrzucił pospieszenie liberyę, przebrał się w modny garnitur, naperłamował i po cichu wymknął się z zakładu, by załatwić swe sprawy sercowe. Groot obszedł jeszcze w towarzystwie psów cały park, potem powrócił do swej łóż, gdzie po pokrzepieniu się kilkoma kieliszkami na noc, położył się i zasnął.

Wśród zupełnej ciszy noc płynęła spokojnie.

Na odległym zegarze wybiła druga godzina. W chwili tej zajechał z boku parku samochód. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna, a została w nim tylko dama, okryta długą, gęstą woalką i szofer w futrze z wielkimi okularami na oczach. Mężczyzna poszedł swobodnym krokiem wzdłuż ogrodzenia zakładu neurologicznego; po kilkunastu krokach ujrzał małą szopę mularską z kawałkami gruzu i z leżącymi na boku motyką, rydłem i taczka. Nie zwrócił na to uwagi i szedł dalej, aż zatrzymał się przed główną bramą, ozdobioną stalowymi, złożonemi liliami. Po przez chmury padł promień księżycy i oświecił jego postać. Był to Cockley w wieczorowym ubraniu. Policzył kraty bramy i podniósł do góry piąty preł, lewą zaś ręką nacisnął trzeci kwiat lilii: drzwi się otworzyły. Sekret ten doktor Crux wyjaśnił w przystępie serdeczności Plumpishowi, który przyrzekł sobie skorzystać z tego, gdy nadejdzie chwila uwolnienia pani Morailles. Czas ten nadszedł.

Zamknął po cichu za sobą drzwi i skierował się do pawilonu portyera. Przyłożył ucho do okna i słuchał. Doszło go ciche chrapanie. Wyjął z kieszeni kawałek dyamentu i czterema liniami przeciął szybę w dźwięch. Potem nałożył skózaną rękawiczkę i naciskając od dołu szybę, wyjął ją bez szelestu. W czyniony otwór włożył rękę i bez trudu przekręcił klucz od drzwi. Groot nie obudził się. Cockley zbliżył się w ciemności do łóżka portyera i zdejmując z głowy szapoklak, złożył go.

Rozległ się szelest, który jednak zdołał wyrwać ze snu człowieka, przyzwyczajonego do częstego budzenia się. Ręką zaczął szukać na stoliku zapalek. Cockley nie zostawił mu jednak czasu do zaświecenia ich: jedną ręką nacisnął kieszonkową lampkę elektryczną o dość silnem świetle, drugą otworzył szapoklak, tak iż jednocześnie blask lampki i huk kapelusza poraził zmysły Groota. Pozostał jak skamieniały, z okiem błędnem, z twarzą przerażoną.

— Hypnoza, szepnął Cockley, wszystko idzie dobrze.

Wpływ hypnotyzmu na Groota odkrył pewnego wieczoru, gdy rozmawiał z nim w jego łóż. Był on skłonny do snu hypnotycznego, jeżeli tylko nagle światło lub niespodziewany huk wstrząsnęło jego systemem nerwowym. Dla pewności Cockley użył od razu dwóch środków. Pochylił się nad Grootem i rzekł mu rozkazującym głosem:

— Spij!

Głowa portyera opadła na poduszki. Wtedy z całym wysiłkiem woli i energii, patrząc się na niego, Cockley mówił:

— Groot, poznajesz mnie?